

Marek Frydrychowski

Wspomnienie o Ojcu Janie Frydrychowskim, jeńcu oflagów II B Arnswalde i II D Gross Born

Kiedy 15 sierpnia 2016 r. w Święto Wojska Polskiego słuchałem przemówienia prezydenta RP Andrzeja Dudy, który mówił o żołnierzach idących w bój z bolszewikami na wojnę 1920 r.^{*}, pomyślałem, że to dobrze, iż mój Ojciec w tamtym czasie miał dopiero 17 lat i nie musiał brać udziału w tej wojnie. Jego ojciec, a mój dziadek, Dominik Frydrychowski, rocznik 1879, organista i dyrygent chórów z Nowego nad Wisłą na Pomorzu, był przymusowym uczestnikiem I wojny światowej, z której jednak szczęśliwie wrócił do żony, syna i córki.

Mój Ojciec Jan Frydrychowski (ur. 29 sierpnia 1903 r.) w sierpniu 1939 r. miał 36 lat i już znacznie mniej szczęścia. Musiał zostawić swoją żonę Ludwikę, a moją Matkę, będącą wówczas w zaawansowanej ciąży, mieszkanie oraz dobrą pracę w Gdyni. Jego obowiązkiem była obrona kraju. Wojny nie chciał, ale to Niemcy usilnie do niej parli. W końcowym rozrachunku przysporzyła ona także i im wielu nieszczęść. Dla naszej rodziny wybuch wojny był początkiem dramatu. Już nigdy później nasza trójosobowa rodzina nie znalazła się w Gdyni. Ojciec trafił do niemieckiej niewoli na kilka tygodni przed moim urodzeniem, a Matka, jak tysiące innych gdynian, musiała opuścić miasto. Jej mieszkanie przy ul. Kasztelańskiej 6 (dzisiejsze Wzgórze Św. Maksymiliana) zajął niemiecki oficer.

Tak jak wyżej wspomniałem, Ojciec już pod koniec sierpnia 1939 r. jako przedwojenny podporucznik rezerwy, został zmobilizowany do wojska, do swej jednostki w Modlinie lub Legionowie. W okolicach Lublina dostał się do niewoli, na „szczęście” do niemieckiej, a nie sowieckiej. Wojnę przeżył w oflagach II B Arnswalde (Choszczno) (1939–1942) i II D Gross Born (Borne Sulinowo) (1942–1945).



1. Portret Jana Frydrychowskiego wykonany w Oflagu II D Gross Born, 1942 r.

Zbiory własne Marka Frydrychowskiego

^{*} tj. wojnę polsko-bolszewicką z lat 1919–1921 [od red.].

W końcowym etapie wojny, ewakuowany wraz z innymi jeńcami na Zachód, znalazł się ostatecznie w okolicach Lubeki (Oflag X C Lübeck). Po wyzwoleniu jeszcze przez pięć lat służył w Kompaniach Wartowniczych Armii Amerykańskiej, głównie jako tłumacz. Tym ostatecznie przekreślił możliwość powrotu do Polski, gdzie z pewnością w najlepszym przypadku trafiłby do więzienia. Jego zamiarem było sprowadzenie Mamy i mnie na Zachód, a następnie wyemigrowanie do Ameryki lub Australii, co wtedy uczyniły tysiące polskich żołnierzy.

Natomiast moja Mama po opuszczeniu Gdyni 20 listopada 1939 r., urodziła mnie w małej wiosce Płochocin, niedaleko Warlubia, pow. świecki, ok. 100 km na południe od Gdyni. Kilkanaście dni po tym fakcie dotarł do mojej Matki list od Ojca, wówczas jeńca Oflagu II B Arnswalde. Adresowany był na „Pfarrhof Gr. Plochotschin“, czyli probostwo Płochocin. Mimo wysiedlenia z Gdyni Matka moja miała jednak bowiem wiele szczęścia. Od 1937 r. w Płochocinie proboszczem był Jej najstarszy brat ks. dr Jan Stryczek – późniejszy powojenny profesor Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. Razem z nim mieszkała jego matka, a moja babcia Pelagia, a także rodzeństwo Matki: siostra Jadwiga i najmłodszy brat Alojzy Norbert, od 1942 r. więzień obozu koncentracyjnego Stutthof.

Brat Matki, płochociński proboszcz, był niezwykle wykształconym człowiekiem. Poza ukończeniem Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie w 1928 r., studiował także do 1931 r. na Uniwersytecie Warszawskim, doktorując się jednocześnie. Prócz wybitnej znajomości *Pisma Świętego*, był cenionym wykładowcą języka greckiego, hebrajskiego i łaciny. Doskonale, nawet lepiej niż niektórzy Niemcy, znał też język niemiecki, co w czasie wojny miało duże znaczenie. Wspominam ks. J. Stryczka obszernie, ponieważ zawdzięczam mu bardzo wiele, w tym przeżycie wojny. W pewnym sensie fakt, iż przetrwałem wojnę, zawdzięczam także partyzantom Zgrupowania Partyzanckiego Armii Krajowej (dalej: AK) „Świerki”, dowodzonego przez kpt. Alojzego Bruskiego, pseud. „Grab”, operującego w pobliskich lasach wokół Płochocina, Lipinek, Warlubia, Nowego i Osieka. Mój wuj od 1942 r. pełnił funkcję kapelana tegoż



2. Jan Frydrychowski w Kompaniach Wartowniczych Armii Amerykańskiej, 1947 r.
Zbiory własne Marka Frydrychowskiego

26/11/39 Peretko, einige liebe Leute! Ich bin der glück-
 lichste Mensch des ganzen Landes. Deine feste Nachbarschaft erwidert
 sich beim Spiel und einige tummel Menschen wimmeln bei
 Markt und mit das Buch. Ich bin bei Solankas, Luchka, und
 freuem mit so unmagbar, das du und das Himmel gemut sind. Das
 esche erwartete junger ist, macht meine Freude noch größer. Ich kufe
 bei für die herrliche Freude Hände und Füße. Ich hab dich ganz geliebt
 lieb und Markt soll das Unterpfeil auf die sein, das man ganz
 denken und Trinken nur auch gelten viel, das durch mich kein
 Hammer deine lieben Augen weinen machen wird. Weil glück-
 lichste war ich, wenn ich bei dir sein könnte. Au auch das viel
 hoffentlich bald gestochen, dann reichen wir in so fest die Hände um
 das Leben vollwird von Neuem zu beginnen, für uns und Markt
 Glück. Das du alles gut überstanden hast verdanken wir in großen
 Maße deine lieben Mutter und Jara, die ich beglückseligt für die
 Pflege, die sie bei angeordnet haben, ~~beglückseligt~~ Maße Gutes verleiht
 ihnen. Ich danke auch herzlich den Täufern, Jachara und meinem
 Vater, den nun Markt zum Grenzwort gemacht hat. Schreibe mir, sobald
 es dein Zustand erlaubt, schreibe oft. Meine Korrespondenz ist dem
 Umfang und der Zeit noch begrenzt. Um so lieber Urbanika, die
 bei ebenfalls ist, sendet dir die besten Wünsche und Grüße. Um mich
 nächstes Mal mehr, für heute nur weil, das ich gemut bin. In diesem Freude
 sind Krugelgymn ihren Trüpfen Alkohol und ihre Jachara dem gen und anderen ecken
 zur Messe. Deine Persönlichkeit und Jachara Markt ~~ist~~ ^{ist} ich als einzigen Braut
 aus dem benachbarten zug. Ich kufe dich und Markt nächst aus Jara
 Grüße Markt und meine Mutter.

3. List Jana Frydrychowskiego do żony Ludwika wysłany z Oflagu II B Arnswalde 26 listopada 1939 r.
 Zbiory własne Marka Frydrychowskiego



4. Oficerowie polscy w Oflagu II B Arnswalde, 15 grudnia 1940 r.
Jan Frydrychowski, stoi drugi od lewej strony
Zbiory własne Marka Frydrychowskiego

zgrupowania, a swe obowiązki wykonywał w czasie przejazdów furmanką z Płochocina do sąsiedniej parafii Lipinki, bowiem proboszcz tej parafii ks. Wiktor Brząkała na początku wojny został aresztowany i trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, gdzie wkrótce zmarł. Około dziesięciokilometrowa trasa do Lipinek prowadziła przez las. Ksiądz J. Stryczek po drodze słuchał spowiedzi, odprawiał msze święte, przekazywał partyzantom przeróżne informacje i żywność, a konfesjonałem – jak napisano w pewnym opracowaniu – był pieńek po ściętym drzewie. Okoliczni Niemcy – cywile, urzędnicy, wojskowi – dobrze wiedzieli, co czeka ich z rąk partyzantów, gdyby ks. J. Stryczkowi lub członkom jego rodziny stała się jakaś krzywda. Niemniej nieżyjący już partyzant z Lipinek, Roman Weiner w przemówieniu wygłoszonym w czerwcu 1989 r. podczas poświęcenia tablicy pamiątkowej ku czci partyzantów w kościele w Lipinkach powiedział: „Ksiądz doktor Jan Stryczek był jednym z nas partyzantów i codziennie nosił wyrok śmierci w kieszeni”.

Na początku wspominałem jeszcze mojego dziadka Dominika Frydrychowskiego. Otóż po nim (zmarł w 1976 r., mając ponad 97 lat) pozostała pewna fotografia, jedyna z czasu wojny. Na niej wśród innych jeńców Oflagu II B Arnswalde widnieje mój Ojciec. Zdjęcie zostało wykonane zapewne na tle bloku, w którym mieszkali jeńcy. Przez wiele lat marzyłem, aby stanąć w miejscu,

gdzie Ojciec został sfotografowany. Po prawie 75 latach, dokładnie 17 września 2015 r. w pewnym sensie zawiązałem symboliczną pętlę i stanąłem w tym samym miejscu. Wrażenie niesamowite – z tyłu tak samo wyglądające okna, rynna i żywopłot, dzisiaj o wiele wyższy. Brakowało tylko ławeczki, na której siedzą starsi stopniem oficerowie. To, że mogłem być w tym miejscu, jak również zwiedzić dzisiejsze koszary Wojska Polskiego w Choszczynie zawdzięczam niezwykle życzliwym organizatorom spotkania rodzin polskich i francuskich jeńców oflagów II D Gross Born, II B Arnswalde, XXI Schubin, Dariuszowi Czerniawskiemu i Etienne'owi Jacheetowi. Odbyło się ono 16–20 września 2015 r.

Kilka lat wcześniej w Bornem Sulinowie dokonałem jeszcze ważniejszego dla mnie odkrycia, związanego z terenem Oflagu II D Gross Born, zlokalizowanym w pobliżu Kłomina, kilkanaście kilometrów na południe od Bornego Sulinowa. Moja Mama Ludwika, jak wspomniałem, w czasie wojny korespondowała ze swoim mężem, przetrzymywanym w niewoli. Listy pisane były na specjalnych formularzach i poddawane cenzurze przez Niemców. Jednak w kwietniu 1944 r. (miałem wówczas już ponad cztery lata) niespodziewanie przyszedł list nieocenzurowany. Napisał go do Mamy niemiecki żołnierz, Kaszub z okolic Gdyni przymusowo wcielony do Wehrmachtu i zarazem pielęgniarz ze szpitala znajdującego się w pobliżu Oflagu II D Gross Born. Ojca podano w nim operacji wyrostka robaczkowego. Wspomniany niemiecki żołnierz na Jego prośbę, napisał do Matki i zapewnił, że jeśli tylko zdecyduje się na przyjazd z dzieckiem, umożliwi Jej wejście do szpitala. Tak też się stało. Oczywiście podróży pociągiem nie pamiętam – było to ok. 150–200 km koleją z Warlubia do Bornego Sulinowa. Tymczasem przez długi czas myślałem, że naszą stacją końcową było Sypniewo (Zippnow), gdzie mogliśmy dotrzeć od strony Jastrowia. W związku z tym nie umiałem sobie wytłumaczyć jak to możliwe, że mając wówczas cztery lata przeszedłem tak długi, kilkukilometrowy odcinek drogi dzielący Sypniewo i Borne Sulinowo. Informację tę kilka lat temu pomógł mi zweryfikować Tomasz Skowronek z Bornego Sulinowa, były nadleśniczy i pasjonat historii, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny. Gdy spotkaliśmy się w pobliżu terenu byłego obozu, wyjaśnił, że pociąg, którym w 1944 r. jechaliśmy na spotkanie z ojcem, minął Sypniewo i dotarł do nieistniejącej dzisiaj stacji, położonej w odległości 800–1000 m od oflagu.

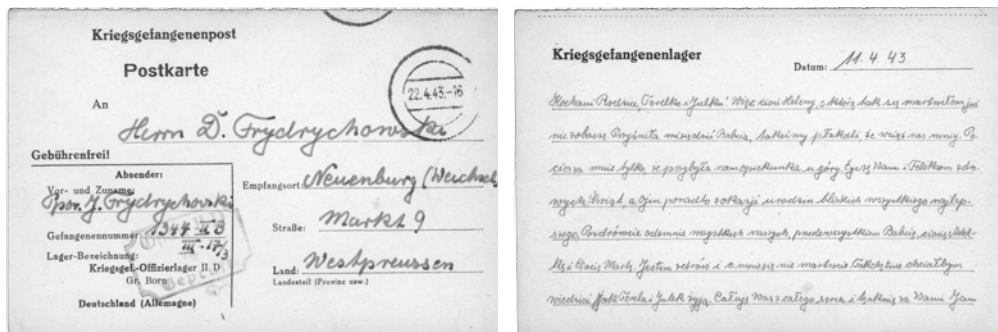
Tak jak wcześniej stwierdziłem, nie pamiętam podróży pociągiem. Za to doskonale pamiętam wejście do baraku szpitalnego – Ojciec leżał na łóżku pod oknem, był mglisty, deszczowy dzień, liści na drzewach jeszcze nie było. 27 kwietnia 1944 r. przez ok. dwie godziny byliśmy razem – cała rodzina: ojciec, mama i ja. Po raz pierwszy w życiu. Jak się potem okazało: po raz pierwszy i zarazem ostatni.

Dziesięć miesięcy później w lutym 1945 r. Mama zginęła. W dniu wkraczania Armii Czerwonej do Warlubia i Płochocina (18/19 II 1945 r.) została postrzelona przez żołnierzy sowieckich. Nie był to jednak celowy strzał, wynikał

z głupoty i braku ostrożności. Nasza rodzina wraz z połową wioski była stłoczona w piwnicy probostwa w Płochocinie. Plebania miała silne stropy. Trwał jeszcze ostrzał artyleryjski z okolic Grudziądza i Górnej Grupy. Trafiona została kościelna wieża, organy kościelne i róg plebanii, która na szczęście się nie zawaliła. Spałem wtedy na prowizorycznym łóżku w piwnicy pod ścianą od wschodniej strony. Do dzisiaj pamiętam, że kiedy obudziłem się, pewnie w wyniku wstrząsu, na mojej piersi leżał kawałek tynku, a ja myślałem, że to mały cukierek, jakie wtedy przygotowywano na patelni. Rosyjscy żołnierze, którzy weszli do piwnicy, zostali przyjaźnie przywitani, choć już wiadomo było, jak potrafią się zachowywać. Jeden z nich nie zabezpieczył pistoletu, który upadł na kamienną podłogę, akurat gdy moja Mama przechodziła obok niego. Nastąpił wystrzał i kula rykoszetem trafiła Mamę w pachwinę. Jeszcze tej nocy „na pierzynch”, konnym wozem została zawieziona do pobliskiego rosyjskiego szpitala polowego znajdującego się w majątku w Rulewie – 6 km od Płochocina, niedaleko Warlubia. Tam została zoperowana przez rosyjskich lekarzy, jednak obrażenia były poważne. Cóż oni mogli zrobić, znając ich „staranność” i ówczesne warunki sanitarne.

Po trzech dniach, 22 lutego 1945 r. Mama zmarła w szpitalu w Rulewie i została pochowana, jak się później okazało, w parku tego majątku, razem z wieloma rosyjskimi żołnierzami. Zachował się Jej ostatni list, zapisany dość niewyraźnie szminką na kawałku kartki. Około 15 marca, jak tylko sytuacja się uspokoiła, jeden z braci mojej Mamy, jego szwagier i siostra Matki zabrali trumnę i pojechali wozem z Płochocina do Rulewa. Miejscowi ludzie powiedzieli im, że Rosjanie chowali zmarłych w zbiorowym grobie w parku. Szpitala polowego w tym czasie już tam nie było, został przeniesiony. Istotnie – Mamę znaleziono w tym grobie, leżała na górze, a obok niej małe dziecko i żołnierze sowieccy. Do dzisiaj w tym parku w Rulewie istnieje zapadlina między drzewami, ale mało kto wie, co się tam wydarzyło.

Jeszcze tego samego dnia moi krewni przewieźli ciało Mamy do Płochocina. Wujek ks. J. Stryczek pochował Ją na miejscowym cmentarzu 17 marca 1945 r. Miała wówczas 33 lata. Mój ojciec o tym wszystkim dowiedział się rok po śmierci Mamy, z listu jednej z Jej sióstr, Waleski Zielińskiej. Późną jesienią 1945 r. z wujkiem ks. J. Stryczkiem, jego matką, a moją babcią Pelagią i siostrą Matki Jadwigą, przeprowadziłem się do Pelplina. Tak jak wcześniej wspomniałem wuj został profesorem w Wyższym Seminarium Duchownym, ważną osobą w kurii biskupiej, a w 1948 r. kanonikiem gremialnym Kapituły Katedralnej w Pelplinie. Przez cały okres szkoły podstawowej do 1953 r. mieszkałem zatem w kanonii przy ul. Kanonickiej 5. Dom ten zamykał ulicę położoną jakby w cieniu katedry, cysterskiej budowli, a zarazem jednego z największych i najpiękniejszych kościołów w Polsce. Do kanonii należał duży ogród ciągnący się od budynku poprzez łąkę do rzeki Wierzycy. Wujek ks. Jan pięknie go zagospodarował, a ja jako mały chłopiec budowałem sobie w nim moje małe



5. Kartka wysłana przez Jana Frydrychowskiego do ojca z Oflagu II D Gross Born 11 kwietnia 1943 r.
Zbiory własne Marka Frydrychowskiego

„partyzanckie bunkry”. Ciotka Jadwiga w 1947 r. wyszła za mąż za miejscowego lekarza dr. Jana Wieckiego. Byli bezdzietnym małżeństwem. Po 1953 r. wzięli mnie do siebie i traktowali jak własnego syna. Okazali się szlachetnymi i wspaniałymi ludźmi, te cechy przejawiali nie tylko wobec członków bliższej i dalszej rodziny, ale również wobec obcych.

Nie oznacza to, iż okres powojenny przyniósł naszej rodzinie upragniony spokój i wyłącznie dobre chwile. Przed Niemcami wuj ksiądz J. Stryczek uchował się, ale niewiele brakowało, by Rosjanie wywieźli go na Sybir. Już go nawet aresztowali jak wiele innych osób, ale miejscowi parafianie wykupili go z rąk Rosjan. „Bimber” jednak na coś się przydał¹. Jakby mało było dramatycznych przeżyć, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (dalej: UBP) nie dawali wujowi spokoju, zapewne z uwagi na akowską przeszłość. Pamiętam jak wielokrotnie nachodził wuja funkcjonariusz UBP – przyjeżdżał pewnie z Gdańska. Wujek po tych rozmowach był zawsze roztrzęsiony i zdenerwowany. Z nikim się tym nie dzielił, pewnie był szantażowany. Dla mnie zawsze miał czas – nauczył mnie pracować w ogrodzie, zwozić na małym wózku siano z łąki przy rzece, które było potrzebne do karmienia hodowanych przez niego owiec i kóz, a także rąbać drzewo, kopać piłkę i pływać w morzu, bo i tam mnie zabierał. Krewni na Kaszubach, szczególnie ci w Gdyni, mieszkali blisko morza. Gdyby Ojciec był na miejscu, pewnie to on chodziłby ze mną nad morze. W tym czasie przebywał w Niemczech Zachodnich i to też zapewne było przyczyną wizyt „ubowca”. Także z powodu tej nagonki do dzisiaj nie przetrwała w zasadzie korespondencja, jaką moi rodzice prowadzili ze sobą w czasie wojny. Wuj ks. J. Stryczek spalił prawie wszystkie listy swego szwagra, a mego Ojca. Zachowały się niektóre listy i pocztówki pisane w różnym czasie do dziadka D. Frydrychowskiego mieszkającego w Nowem nad Wisłą.

Dopiero po 27 latach w czerwcu 1971 r. ponownie spotkałem się z Ojcem, pierwszy raz jako dorosły człowiek, miałem ponad 31 lat a On ponad 67. Po wielu zabiegach i staraniach pozwolono mi odwiedzić Ojca w RFN w miejsco-

¹ Relacja Janiny Guz, z d. Wodzikowskiej – w zbiorach autora.

wości Hamm (Westfalia). Wcześniej dwukrotnie odmówiono mi wyjazdu – „ze względów społecznych”. Ojciec poznał po wojnie swoją drugą żonę Ruth Harmel – Niemkę. Była tłumaczką języka angielskiego, osobą niezwykle skromną i szlachetną, ponad 19 lat młodszą od ojca. Z tego małżeństwa urodziło się troje dzieci: Janka, Jacek i Monika. Mimo polskich imion nie stali się Polakami, tak jak Ojciec nigdy nie został Niemcem. Widziałem jego dokument osobisty, był bezpaństwowcem. Podczas mego pierwszego wyjazdu do Ojca w 1971 r. we dwójkę pojechaliśmy na tydzień do Holandii, ale i tak za dużo nie dowiedziałem się o czasach wojennych. W Niemczech, gdy widział jakiś przelatujący niemiecki samolot mówił: „najchętniej bym go zestrzelił”. Wojenna zadra tkwiła w Nim głęboko.

W odwiedziny do Polski zdecydował się przyjechać wraz z żoną Ruth dopiero w październiku 1976 r., na krótko, zupełnie niespodziewanie dla mnie i mej rodziny. Przyjechał pociągiem do Starogardu Gdańskiego. Od dziesięciu lat miałem już swoją rodzinę – żonę Ewę, która była i jest ostoją mojego życia oraz dzieci: Rafała (1967–1995) i Monikę (1972 r.). W 1982 r. urodziła się jeszcze Anna, ale jej już Ojciec nie poznał. Do Polski ostatni raz przyjechał w 1980 r.

Dziadek Dominik zmarł kilka miesięcy przed przyjazdem Ojca do Polski w sierpniu 1976 r., mając ponad 97 lat, a babcia Anna, matka Ojca kilka lat wcześniej w 1971 r. w wieku prawie 92 lat. Do dzisiaj nie mogę dociec, dlaczego Ojciec zdecydował się przyjechać dopiero kilka miesięcy po śmierci swego taty. Zapewne w dalszym ciągu obawiał się komunistów, choć czasy gierkowskie były już bardziej normalne i ludzkie. Ponadto Jego rodzice byli już w mocno zaawansowanym wieku, być może obawiał się, że któreś z nich może nie przeżyć tego spotkania – a dziadek bardzo czekał. Ojcu udało się natomiast spotkać ze swoją ukochaną i już wówczas mocno schorowaną siostrą, Teresą. Ich spotkanie po 37 latach niewidzenia było bardzo wzruszające.

W 1985 r. ostatni raz spotkałem się z Ojcem. Rok później zmarł, a zawiadomienie o śmierci, które otrzymałem, nie zostało urzędowo potwierdzone, więc na pogrzeb nie mogłem pojechać. Czy celowo nie potwierdzono zawiadomienia? Nie wiem.

W 1991 i 1996 r. wraz z żoną i dwiema córkami pojechałem do Niemiec, by odwiedzić grób Ojca na cmentarzu w Hamm (doszły mnie słuchy, że Jego grób może już nie istnieć). Tu w Polsce sam urządziłem osiem pogrzebów wszystkich bliskich mi osób, które pojawiają się w powyższym opisie. Spoczywają one na cmentarzach w Pelplinie i Nowem nad Wisłą. Kiedy pracuję i porządkuję ich groby nigdy nie odczuwam smutku, choć nie jest mi obce to uczucie w innych okolicznościach. Gdy modłę się przy ich grobach, szczególnie przy grobie Matki, syna Rafała, ks. Jana, babci Pelagii, cioci Jadzi i jej męża Jana Wieckiego – czuję szczególną Bożą opiekę, która daje mi jeszcze wiele sił i chęci do życia.

Gdy w latach 70. XX w. chodziłem z moim Ojcem po cmentarzu w Hamm, pokazał mi kwaterę polskich żołnierzy – piękną, czystą, zadbaną.

Szkoda, że to nie tam został pochowany.